Świat powieściowy.

Nr. 135 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

NAJNOWSZA POWIEŚĆ WERNEROWEJ.

Wolny przekład Heleny Wilczyńskiej.

I.

Parowiec stał u brzegu, gotów do podróży. Za godzinę miał z portu wypłynąć, a zmierzał ku brzegom austryjackim, do których przy pogodzie sprzyjającej mógł zdążyć równo ze świtem.

Morze było ciche i senne, jak zwykle podczas pięknej i spokojnej nocy księżycowej, za to w porcie i na brzegu, życie wrzało dotąd w całej pełni. Strugi świateł oblewały Piazettę, i tłum różnorodny roił się na placu obszernym, jakby w dzień biały. Mimo późnej jesieni, noc była tak ciepłą, taką córą nieodrodną strefy południowej, jak na północy w najpogodniejsze i najgorętsze lato. Gondole mknęły szybko jak jaskółki, przy dźwiękach czarownej muzyki i blaskach purpurowych pochodni, a wody źwierciadło wiernie odbijało to drugie morze ruchliwe, ludzi, gondol i świateł, a w dali kąpiące się w łagodnym blasku księżycowym, wyłaniające tajemniczo delikatnemi konturami z cieniów nocy, wieże pysznych kościołów. arkady i rzeźby niezrównane na pałacach magnatów.

Było już dość późno, gdy towarzystwo wesołe, złożone z kilku młodych ludzi, zdążało szybko ku brzegowi morskiemu, przepychając się gwałtownie przez tłum w jedną masę zbity, krzyczący i potrącający się nawzajem. U brzegu, do którego teraz dotarli szczęśliwie, czekała obszerna gondola z mnóstwem kufrów i kuferków, a z najbliższej kawiarni bił blask olśniewający i dolatywały dźwięki uroczej muzyki.

— Trzeba zatem pożegnać te wszystkie cuda! — westchnął ciężko jeden z wesołego towarzystwa, na które widocznie składały się różne narodowości, gdyż rozmowę prowadzono częścią w języku niemieckim, włoskim, a nawet i francuskim. Usposobienie atoli wszystkich, tchnęło ową lekką swobodą młodości, podsyconą jeszcze toastami licznemi na cześć odjeżdżającego, i strzemiennem, wypitem w owej kawiarni, na którą padł teraz wzrok żegnającego się z przyjaciołmi młodzieńca.

— Tak! tak! — dodał smętnie głową potrząsając — trzeba żegnać to miasto czarowne, i zamienić ciepłe noce południa i tę cudną przyrodę, wieczną wiosną kwitnącą, na naszą mglistą jesień, na zimę półroczną, pełną burz, słot i śnieżnych zamieci! O! gdy pomyślę o tych naszych górach straszliwych, niedostępnych, śniegiem od społeczeństwa i ludzi cywilizowanych oddzielonych, dreszcz śmiertelny mnię przejmuje i złorzeczę pomysłowi nieszczęsnemu mojego stryja, który właśnie pod zimę wzywa mnie do siebie!

Przy tych słowach ostatnich, mówiący zrównał się z kandelabrem gazowym, i stanął w samym kręgu światła. Była to postać smukła, giętka, w eleganckim, popielatym stroju podróżnym. Blond włosy, i oczy niebieskie, zdradzały syna północy, chociaż płeć niegdyś jasna, znacznie zgrubiała i pociemniała pod gorącemi promieniami słońca włoskiego. Twarz o profilu pięknym i regularnym, była świeża, młoda, uśmiechnięta, wzbudzała nawet pewną sympatję, i pociągała ku sobie. W rysach tylko, jak dotąd, brakowało głębszego wyrazu, hartu duszy i prawdziwie męskiej energji. Zdradzały charakter miękki, chwiejny, niestały.

— Dla czegoż bo w ogóle odjeżdżasz? — wtrącił jeden z towarzyszów, typ włocha w całej czystości, o kruczych, krętych włosach, i oczach czarnych, dzikim ogniem płonących. — Na twojem miejscu, nie wiele bym się troszczył o zachcianki starego odludka, który zapakowawszy się w jakąś niedostępną wilczą norę, światu całemu wojnę wypowiedział. Z należnem uszanowaniem i pokorą doniósł bym mu poprostu, że nie uśmiecha mi się bynajmniej towarzystwo sów i nietoperzy, a tak napisawszy, zostałbym w Wenecji. Już ci to pozawczoraj proponowałem, skoroś otrzymał rozkaz natychmiastowego powrotu, aleś ty dobrą radę puścił mimo uszu.

— Kochany Bernardo! — zaśmiał się ironicznie zagadniony — ta mądra rada dowodzi jasno jak na dłoni, iż nie masz najlżejszego wyobrażenia, co znaczy taki stryjaszek, od którego dobrej woli, a raczej kaprysu, zależy nie tylko dzisiejsza egzystencja nasza, ale i przyszłość cała... Gdybyś doniosłość tego faktu pojął należycie. zmieniłbyś zdanie... i radę.

— Obym takiego posiadał! — wykrzyknął Bernardo z komicznym patosem. — Stryjaszek, po którym ma się nadzieję odziedziczenia miljonów, jest w każdym razie przedmiotem godnym szacunku, choćby nawet dzielił

z rodem puhaczy, pewne nawyczki i upodobania. Nie stety w mojej najbliższej familji, nie postał nigdy egzemplarz tak drogocenny! Masz i w tem, jak we wszystkiem, szczęście szalone!

— Któż to jest właściwie, ten pański stryj, baronie? — wmięszał się trzeci do rozmowy. — Zanim z Niemiec wyjechałem, byłem przypadkowo w okolicy dóbr rozległych ordynata barona Werdenfels'a, i słyszałem o nim najdziksze pogłoski. Dziedzic w Felseneck, stał się niemal mytem z czasów bajecznych, na przestrzeni kilkudziesięciu mil kwadratowych! Wobec pana nie może przecież zachowywać się, jak z resztą świata. Dla tak bliskiego krewnego, jest zapewne przystępniejszym i więcej widzialnym.

Młody baron Werdenfels wzruszył ramionami.

— Nie mogę udzielić ci pod tym względem żadnych wiadomości kochany Osten, bo wiem o nim tyle, co i każdy inny. Jest to brat stryjeczny mego ojca, z którym atoli nie żył jakoś w zgodzie, i nigdy u siebie nie bywali. Ja sam, raz szczególny w życiu, widziałem go, i z nim mówiłem. Było to przed laty, gdy po śmierci ojca mojego, stryjowi oddawano mnię sądownie w opiekę. Odtąd stosunki nasze ograniczały się na korespondencji, w której uwiadamiałem go regularnie co dwa tygodnie, o mojem życiu i zajęciach, odbierając czasem i od niego słów kilka odpowiedzi. Nigdy się co prawda nie spodziewałem, abym był kiedy zmuszony ze stryjem zamieszkać, i pojąć nie mogę, dla czego wezwał mnię tak nagle do powrotu.

— Wzywa cię może, aby zrobić testament — zawołał wesoło młody oficer, należący również do zgraji hałaśliwej, która odprowadzała odjeżdżającego. — To byłaby w każdym razie myśl najrozsądniejsza, byleś tylko jak najprędzej po stryjaszku miljony odziedziczył. Nie lękaj się! już my dopomoglibyśmy ci przewietrzyć trochę spleśniałe dukacjusze, i naprzód zapraszamy się do ciebie na stypę pogrzebową. aby smutek twój głęboki cokolwiek ukoić, a następnie w twojem leśnem państwie, na gemzy zapolować. No daj rękę Polciu na zgodę!

Wyciągnął dłoń ze śmiechem wyuzdanym, ale Paweł Werdenfels cofnął rękę z widoczną niechęcią.

— Tylko bez takich żartów! bardzo proszę! — Najprzód stryj nie jest bynajmniej tak starym, jak sądzicie, a powtóre był zawsze dla mnie najlepszym! Wspaniałomyślność jego była niewyczerpaną, i nigdy dotąd braku nie uczułem.

— A potrzebowałeś bardzo wiele — wtrącił Bernardo z złośliwym przekąsem. — Twój pobyt we Włoszech naprzykład, musiał nie lada sumkę kosztować.

Paweł Werdenfels zmierzył mówiącego wzrokiem ironicznym.

— Ty powinienbyś najlepiej o tem wiedzieć, boś mi pomagał najgorliwiej. Połowa moich wydatków, szła na twój rachunek poczciwy Bernardo!

— Tak, to prawda! Raz podjąwszy się twojej edukacji, postępowałem systematycznie w wytkniętym kierunku — odrzucił Włoch z całą bezczelnością. — Bo też, gdyś tu przybył, nie umiałeś wcale używać pieniędzy. Muszę jednak oddać hołd prawdzie, żeś był uczniem nader pojętnym. Stryjaszek na nieszczęście musiał się wreszcie serjo zaniepokoić, gwałtownem kasy swojej wypróżnieniem, i chcąc uwolnić się w przyszłości od podobnych na kieszeń jego atentatów, zabiera się do swojego gniazda sowiego.

— Mniejsza o powody, dla których mnię wzywa. Dość, że muszę być posłusznym, i odjeżdżać ztąd z ciężkiem sercem!

— Czy to potężne westchnienie — zażartował Osten — tyczyło się roskosznej Wenecji, czy też wysłałeś je pan pod adresem naszej pięknej rodaczki, bawiącej tu obecnie? Tylkoż się nie zapieraj baronie! Byłeś przecie jedynym wybranym z pomiędzy nas wszystkich, któremu udało się zbliżyć do tej bogini.

— Znowu owe szczęście historyczne Werdenfels'a! — wtrącił Bernardo sarkastycznie. — Czegożbym nie poświęcił, gdybym tak mógł uwiecznić na płótnie te cudowne pukle włosów kasztanowatych, o złotym w zgięciach połysku, te oczy ciemne, niezgłębione! Istna Madonna, jednego z naszych starych mistrzów! Ale było czystem niepodobieństwem przełamać zapory, któremi otoczyła się, i od reszty śmiertelników odgraniczyła, ta piękność dumna i nieprzystępna! Nie mogłem że ja znaleźć owego pularesu, którego wartość musiała być znaczną, skoro właścicielka taką sowitą nagrodę była wyznaczyła. Otóż Werdenfels pulares natychmiast nadybuje, odnosi zdobycz drogocenną osobiście, jest łaskawie przypuszczony do oglądania zbliska oblicza bogini, bawi u niej całą godzinę, i ma się rozumieć, wychodzi na śmierć rozkochany! Nikt tego lepiej pojąć nie zdolny odemnie, któremu na to samo pięć minut czasu wystarczyło!

— Tak! tak! — roześmiał się ów młody oficer — wrócił ztamtąd nasz Polcio niby wniebowzięty! taki jasny i promienny! Odtąd buja w sferach wyższych, i nawet upojony czem innem, nie umie ocenić należycie przyjemności wychylenia z przyjaciółmi kilku butelek dobrego szampana. Ręczę, że z tego pierwszego spotkania wykłóły się rozmaite przygody romantyczne, jak: serenady przy świetle księżyca, przejażdżki po Canale grande.. z czego niestety przed nami robi się tajemnicę stanu!

— Żartujcie sobie zdrowi! — burknął Paweł, na poły zniecierpliwiony, a na poły rozśmieszony dowcipnemi ucinkami i przekomarzaniem się z nim wesołych towarzyszów. — Każdy z was jednak byłby rad być na mojem miejscu! Przeciw temu atoli, co twierdzi Bernardo, jakobym miał szczęście tak szalone, muszę solennie zaprotestować. Czyż to może szczęściem nazwiecie, być gwałtownie wydartym z miejsca pobytu dwojga oczu promienistych, w które raz jeden, jedyny, spojrzeć nam było dozwolonem? Dziś byłem wprawdzie z wizytą pożegnalną u pani Hertenstein, nie zastałem jej w domu niestety!... a może umyślnie taki rozkaz

wydała... dość na tem, żem jej raz drugi nie zobaczył. Wiem zaledwie jak się nazywa, i że niedawno owdowiała, gdyż dotąd żałobę nosi po mężu. Wszystko zresztą, dotyczące jej osoby, jest mi obce, a nawet po części wielce zagadkowe... i w tej niepewności odjeżdżam!

Ostatnie słowo było wymówione tonem tak tragiczno-desperackim, iż docinki i żarciki posypały się gradem z ust wszystkich. W tej jednak chwili z gondoli u brzegu czekającej, wyłoniła się postać chuderlawa człeczyny niewielkiego, z głową jak mleko białą, z twarzą pomarszczoną, w skromnej, ciemnej liberji, który przemówił tonem ostrzegającym:

— Paniczu, na nas czas wielki! Parowiec odpłynie za pół godziny.

— Ależ nie pożegnaliśmy się jeszcze należycie! — wtrącił drwiąco Bernardo. — Nie przeszkadzaj że nam stary! Możesz i tak już Bogu i wszystkim świętym podziękować, że ci się udało twojego ukochanego panicza wyrwać z pomiędzy nas bezbożników, i że go do Niemiec masz odstawić.

Przemówił tym razem po niemiecku, aby stary Arnold mógł go zrozumieć. Sługus atoli nie dał się temi drwinkami zbić z tropu, tylko zrypostował natychmiast sucho i ostro:

— Istotnie, panu mojemu przyda się wielce towarzystwo ludzi rozsądnych.

Młodzież przyjęła tę surową nauczkę wybuchem śmiechu serdecznego. Nawet Paweł tym razem do ogólnego chóru się przyłączył.

— Podziękujcież za kompliment! — wykrzyknął wesoło — i zważcie, iż takiem jest jego najgłębsze przekonanie! Ależ na prawdę, za wiele sobie pozwalasz Arnoldzie.

— Spełniam tylko powinność najświętszą! — brzmiała odpowiedź. — Gdy jaśnie pani nasza konała, kazała mnię do siebie zawołać i oddała mnie w opiekę swojego Pawełka: „Arnoldzie! — rzekła głosem słabym...

— Na miły Bóg! — wpadł staremu w słowo Osten z widocznym przestrachem — umiemy na pamięć całą tę historję. Wiemy od dawna, iż wyniańczyłeś Arnoldzie barona Werdenfels, a że zastępujesz przy nim nieledwie ojca i matkę, już eś nam to ze sto razy opowiadał! Baron też, jak i my wszyscy zresztą, szanujemy cię wielce i boimy się okrutnie!

— A na czele ja stoję! — dokończył Bernardo, uśmiechając się szydersko. — Żaden bo z was panowie tyle od poczciwego Arnolda kazań nie usłyszał, i nie był tak do głębi jak ja niemi skruszony!

Wzrok starego sługi obiegł w około z wyrazem szczerej niechęci. Na smagłej twarzy Włocha, noszącej piętno rozpusty i wszelkich chuci zmysłowych, zatrzymał się atoli dłużej, ze wstrętem i niemal z pogardą.

— Signor Bernardo! — rzekł tonem uroczystym. — Wszyscy przyjaciele mojego panicza nie wiele byli warci, ale co w panu, to już cały djabeł siedzi!

To wyznanie nic a nic w bawełnę nie owinięte, wywołało nowy wybuch śmiechu homerycznego i mnóstwo uwag złośliwych, nagle jednak wszyscy umilkli i panowie rozskoczyli się na prawo i lewo, aby zostawić wolne przejście dla kogoś, również na statek dążącego. Była to dama od głowy aż do stóp czarno ubrana, z twarzą zasłoniętą gęstym krepowym welonem. Pyszny zwój warkoczy, wymykał się z pod zgrabnego, małego kapelusika, a gdy przechodziła obok rewerberu, światło gazowe wywołało w zgięciach włosów na pozór ciemno kasztanowatych, złote blaski. Obok szła kobieta niemłoda, bardzo skromnie ubrana, niosąc torbę i pudełko. Była widocznie w roli podrzędnej pokojówki. Za niemi o kilka kroków, stróż hotelowy, wiózł na taczkach resztę pakunków. Paweł Werdenfels skłonił się nisko, z najwyższem uszanowaniem, a całe grono młodzieży, poszło za jego przykładem. Dama nawzajem lekko głową skinęła, i natychmiast wsiadła do czekającej z boku gondoli, wraz z pokojową, poczem gondolier odbił od brzegu, zdążając w stronę parowca.

— Będziesz że śmiał i teraz jeszcze zaprzeczyć, żeś dzieckiem szczęścia?! — szepnął Bernardo do ucha przyjacielowi. — Wszak jedzie na tym samym parowcu, którym ty wracasz do Niemiec!

Wzrok Pawła pogonił w zachwycie za gondolą, mknącą szybko po wodzie świecącej blaskiem księżycowym.

— W rzeczy samej! — szepnął rozpromieniony — wstępuje na pokład! Ani przeczuwałem coś podobnego! Jednem słówkiem nie zdradziła się, iż myśli tak wkrótce odjeżdżać. Ale Arnold słusznie zauważył... czas najwyższy i dla mnie! A więc bywajcie mi zdrowi, wszyscy drodzy przyjaciele!

Radby był skrócić o ile możności chwilę pożegnania, nie udało mu się to jednakże. Całe towarzystwo zapałało nagle dla odjeżdżającego miłością niesłychaną, i w sercach ich obudziła się chęć nieprzezwyciężona nie opuszczać Pawła, aż póki statek nie odpłynie.

— Dla czego mielibyśmy już teraz żegnać się z tobą?! — zawołał pierwszy Bernardo. — Jeszcze mamy pół godziny, którą możemy razem spędzić. Jadę na statek!

— I ja! — wpadł mu w słowo Osten. — Byłoby to niemal lekceważeniem z naszej strony, gdybyśmy do ostatniej chwili nie dotrzymali towarzystwa kochanemu baronowi!

— Tak! tak! Nie godzi się! nie godzi! — wtrącił ów oficer. — Wszyscy Polcia odprowadzamy!

Wniosek przyjęto z zapałem, tylko ten, którego tyczył się głównie wylew czułości, nie zdawał się bynajmniej wnioskiem zachwycony, nawet nie silił się na jakąkolwiek oznakę wdzięczności. Zrazu wypraszał się od tej demonstracji ze śmiechem, wszystko w żart obracając, gdy to atoli nie poskutkowało, zaprotestował całkiem serjo przeciw wszelkim odprowadzaniom. Niektórzy chcieli to prawie poczytać za obrazę, Bernardo wdał się jednak w tę sprawę i uspokoił wzburzone umysły uwagą ironiczną:

— Zostawmy go samego! Czyż nie rozumiecie, iż

*

płynie pełnemi żaglami do przystani, z której Amor wykukuje, i mruga na niego oczkiem figlarnem? Jesteśmy zupełnie zbyteczni przy tem rendez-vous na statku parowym, w co nie raczył najlepszych swoich przyjaciół ani jednem słówkiem wtajemniczyć! Tylko tego nam kochanie moje nie wyperswadujesz, żeś nic nie wiedział o jej odjeździe! Aby w to uwierzyć, trzeba by cokolwiek od nas naiwniejszych!

Tym razem Paweł groźnie brwi zmarszczył, a głos jego drżał z oburzenia.

— Nie pojmuję, jak śmiesz wątpić w słowa moje! Niema tu mowy o żadnej awanturze miłośnej, o żadnem rendez-vous, i żądam całkiem serjo, żebyś tak mnie jak i pani Hertenstein raczył oszczędzić żartów i uwag niestosownych!

— Składam zatem u stóp państwa dobrodziejstwa wyrazy mojego najgłębszego uszanowania! — zadrwił niepoprawny Bernardo. — Bierzesz widocznie te rzeczy ze strony sentymentalnej i zamyślasz wzdychać i ubóstwiać tymczasowo zdaleka przedmiot twoich strzelistych afektów. *De gustibus non est disputandum*! Bądź jak bądź, ten romans przy blasku księżyca, który czeka cię na morskiej przestrzeni, jest godzien zazdrości! Życzę ci szczęścia i jak najlepszego powodzenia!

Paweł odwrócił się od mówiącego z gniewem i niechęcią. Otoczono go, wymieniając serdeczne uściski, słowa pożegnania i szepcąc do ucha rozmaite żarciki i prześladowania dowcipne, piękną nieznajomą. Nie zdołał się prędzej uwolnić, aż póki z parowca nie odezwało się pierwsze zadzwonienie. Teraz wyrwał się Paweł gwałtownie z objęć przyjacielskich, wskoczył do gondoli, i posłał jeszcze płynąc ostatnie: „Bywajcie mi zdrowi!“ — stojącym dotąd na brzegu wesołym swoim towarzyszom.

Odetchnął mimowolnie, jakby mu z serca spadł wielki ciężar, gdy uczuł w koło siebie spokój i ciszę nocy księżycowej. Za nic w świecie nie chciałby był pokazać się na statku, z tą zgrają hałaśliwą, w tem kółku młodzieży wyuzdanej, z którą jednak tak mu dotąd czas płynął miło i swobodnie. Pierwszy raz niemal wstydził się takich przyjaciół i uczuł całą niestosowność takiego otoczenia. Wiedział dobrze, jaki magnes ciągnie ich na pokład statku i oburzył się brakiem taktu i bezczelnem prawie narzucaniem się z ich strony.

Za chwilę wyskakiwał lekko z gondoli, krokiem elastycznym pokład statku mierząc. Stary Arnold mrucząc coś pod nosem, rachował tymczasem pakunki i odbierał kartkę. Wszyscy jadący dotąd z pomostu nie zeszli. Nęciła każdego noc ciepła, cudowny blask księżyca i nikomu nie było pilno zamykać się w dusznych, niskich kajutach. Daremnie jednak wzrok Pawła badał pilnie każdą grupę oddzielną, głośno i wesoło gwarzącą, daremnie szpiegował kąciki najciemniejsze, zbiegł nawet do salonu, zupełnie teraz opuszczonego; jedyna postać, której szukał tak gorliwie, stała się niewidzialną. Pani Hertenstein musiała udać się już na spoczynek i zjawi się prawdopodobnie aż jutro rano, w chwili wylądowania.

Rozstrojony i smutny doznanym zawodem, młody człowiek wrócił na pokład i usiadł z głową zwieszoną na jednej z ławek. W tej chwili odezwał się sygnał odjazdu, z brzękiem opadły łańcuchy, kocioł zahuczał i sapać zaczął, koło obróciło się zwolna, sternik stanął na stanowisku i parowiec z portu wypłynął. Jeszcze raz błysnęła Piazetta świateł powodzią, a wieże i pałace wyłoniły się mglistemi konturami z pomroku. Przez chwil kilka miasto całe można było objąć jednym rzutem oka, jak na dłoni; wreszcie cudne panorama zacierało się i znikało, a statek mknął całym pędem, po gładkiej morza powierzchni.

Na pokładzie było coraz ciszej i puściej. Jedni po drugich szli do kajut na spoczynek, i Paweł Werdenfels zdecydował się wreszcie pójść spać po prostu, gdy na schodkach od kajuty stanął nagle jak wryty. O kilka kroków od niego spierała się o ballustradę statku samotna postać kobieca, którą poznał natychmiast, chociaż była do niego plecami obrócona. Musiała wyjść z kajuty podczas odjazdu i schroniła się niepostrzeżenie w ten kącik zaciszny. Baron szybko naprzód postąpił, zawahał się jednak i cofnął napowrót. Nieśmiałość, co prawda, bynajmniej nie należała do wad jego, w tym jednak wypadku, był dziwnie trwożliwym i niezdecydowanym. Ta wyniosła postać wydała mu się tak majestatyczną i taką nieprzystępną. Szelest kroków jego, zbudził ją przecież z głębokiej zadumy, odwróciła głowę od morza, w które wpatrywała się wzrokiem rozmarzonym, a blask księżyca, oblewając ją z góry, każdy rys twarzy uwydatnił.

Były to rysy klasycznie piękne, które wyzierały z miękkich i powiewnych fałdów chusteczki czarnej koronkowej, *à l'espagnole* na głowę zarzuconej, tylko że z tej twarzy tak uroczej, biła powaga surowa, nie licująca z młodym wiekiem i delikatnym tejże twarzy konturem. Na białem, jasnem czole, i około ust purpurowych, czytało się raczej wyraz energji i woli niezłomnej, niż czułość i miękkość kobiecą; w ciemnych, głębokich źrenicach, tlił również ogień smętny, ponury, niby lampa płonąca w grobowcu, a nie ów blask wesoły, namiętny, którym zwykło pałać oko pięknej, rwącej się do życia kobiety. Byłoż to przypomnieniem straty niedawno poniesionej? czy tak ją kir żałobny osmucał? czy też była jedną z tych zimnych piękności, które jak alpejskie lodowce odbijają wprawdzie blask słońca i na pozór płoną purpurą, ale nigdy nie mięką i nie ożywiają się pod jego palącym promieniem? Włosy prawie całkiem znikały pod czarną zasłoną. Paweł podziwiał atoli przy świetle dziennem, tę cudną barwę ciemną, mieniącą się złotym połyskiem.

Lekkie zdziwienie odbiło się w rysach młodej kobiety, gdy spostrzegła przed sobą towarzysza podróży.

— I pan więc powracasz? — spytała.

Paweł skłonił się potakująco.

— Nie spodziewałem się, iż będę tak szczęśliwym, z panią tę podróż odbywać. Nie było mi dozwolonem pożegnać się... powiedziano mi, żeś pani wyszła.

W tonie tych słów, czuć było pewne rozdrażnienie, na które atoli pani Hertenstein bynajmniej uwagi nie zwróciła. Pominąwszy owe: „powiedziano mi“, mówiła dalej z lodowatym spokojem:

— Otrzymałam wprawdzie pański bilet pożegnalny, przypuszczałam jednak, iż odjeżdżasz do Rzymu baronie. Wszak o ile słyszałam, chciałeś tam zimę spędzić?

— Cieszyłem się przynajmniej tą miłą nadzieją... wiadomości atoli z kraju odebrane, zmuszają mnię do rychłego powrotu.

Paweł podczas słów ostatnich postąpił bliżej i znalazł się tuż obok pani Hertenstein. Oprócz nich dwojga nikogo już więcej na pokładzie nie było, gdyż reszta podróżnych przed chwilą zeszła do kajut. Statek płynął cicho po gładkiej morza powierzchni, której nie marszczył wietrzyk najlżejszy, a tylko księżyc przezierał się w niej blaskiem tajemniczym. Niebo i morze lśniły jednakowo, niby gazą świetlaną powleczone, a w zagłębieniach, które na chwilę w wody źwierciedle, zostawiał za sobą i obok siebie parowiec, fale wyglądały niby lama srebrna. W oddali unosiła się mgła lekka, cała przetykana księżyca jasnemi promieniami. Jeszcze i miasto rysowało się zdaleka świetlanemi konturami, niby zwodnicza *Fata Morgana*, rzucona na morskie głębiny i powoli znikająca. Ścieśniał się coraz bardziej a bardziej krąg świateł na horyzoncie i wkrótce już tylko jak gwiazdka, płonął nad falami.

— Co za widok czarowny! — rzekł Paweł półgłosem. — Znika nam też z przed oczu, niby jakaś fantasmagorja, wywołana rószczką czarownika.

— W istocie obraz cudowny — powtórzyła pani Hertenstein. — Nic podobnego nie widziałam w naszej niemieckiej ojczyźnie.

— Pani zatem mieszkasz stale w Niemczech? — Paweł schwycił w lot, podany mu niejako dalszy wątek do rozmowy. — Wiedziałem wprawdzie, gdy trafem szczęśliwym danem mi było zbliżyć się do pani, że odwidzam rodaczkę, mówisz jednak po włosku tak czysto, bez najlżejszego akcentu cudzoziemskiego, iż sądziłem, że boska Italja jest pani stałem miejscem pobytu.

Zatrzymał się, jakby czekając na odpowiedź, a gdy ta nie nastąpiła, mówił dalej:

— Przy tak sprzyjającej pogodzie, wylądujemy przed wschodem słońca. Będziemy mogli zatem wsiąść bezwłocznie na pociąg pospieszny, idący do W.... W. jest prawdopodobnie celem naszej podróży?

Spodziewał się nader świetnych rezultatów, po tej zaczepce arcy-dyplomatycznej, zawiódł się jednak najfatalniej. Zamiast dowiedzieć się czegokolwiek „o celu wspólnej podróży“ — otrzymał nawzajem pytanie:

— Tam więc udajesz się baronie?

— Tylko na dni kilka. Potem wracam do mojej ściślejszej ojczyzny.

Na ustach pani Hertenstein zawisło pytanie, które atoli nie wypowiedziała. Zamknęła napowrót usta już na pół otwarte, z wyrazem dziwnie cierpkim i surowym, a tylko wzrok jej spoczął na twarzy młodzieńca, jakby chciała odgadnąć i przeniknąć myśli jego najskrytsze. Było to spojrzenie niezwykle długie, na poły badawcze, na poły pytające, za chwilę atoli odwróciła oczy od niego i znowu wzrokiem w morzu utonęła. Baronowi jednak wielce pochlebiło to spojrzenie wyraziste i widoczne zainteresowanie się jego osobą.

— Znikną nam aż nadto prędko z oczu, czarowne, słoneczne brzegi Włoch — wtrącił po krótkiem milczeniu. — Ja szczególniej zatęsknię za tą boską krainą, gdyż właściwym celem mojej podróży są góry.

Pani Hertenstein zwróciła się nagle ku niemu.

— Jedziesz pan w góry? — szybko spytała. — Teraz, w późnej jesieni?

— Niestety! — westchnął Paweł zdziwiony cokolwiek żywością zapytania. — Prawdopodobnie będę nawet zmuszony część zimy tamże przepędzić. Myśl to dreszczem śmiertelnym przejmująca. zagrzebywać się żywcem na zimę w niedostępne lody i śnieżne lawiny! Trzeba tak dziwacznego usposobienia, jak stryja mojego, aby lubować się w czemś podobnem!

Pani Hertenstein przechylona przez poręcz statku, wpatrywała się z uwagą wytężoną w fale błyszczące, jakby każdą z nich chciała policzyć.

— Masz zatem baronie krewnych w górach? — cicho szepnęła. — Krewnych tego samego.... nazwiska?

— Jednego tylko brata stryjecznego mojego ojca. Jest nim ordynat Rajmund Werdenfels, ostatni potomek ze starszej linji, pan dóbr rozległych, oprócz majoratu olbrzymiego. Zerwał jednak stanowczo z całym światem, nie zamieszkuje nawet swojego pysznego zamku rodzinnego w Werdenfels, tylko zimą i latem siedzi jak puhacz na szczycie gór najmniej dostępnych, w ukochanem swojem gnieździe, nazywającym się Felseneck i tam mnię wzywa.

Młoda kobieta znowu w morze się zapatrzyła; po dłuższem milczeniu spytała nareszcie:

— Znasz pan Felseneck?

— Zdaje mi się, iż tam byłem kiedyś, dzieckiem małem... dokładnie jednak nie mogę sobie przypomnieć miejscowości. Sądząc atoli z opisu ojca mojego, musi to być dzika, ponura ruina, między nagiemi skałami zagrzebana, a od reszty świata cywilizowanego oddzielona murem chińskim. Wyznaję szczerze, iż nie mam wcale zmysłu dla podobnych widoków i całą tę sowią romantyczność, zamieniłbym z drogiej duszy na więcej prozaiczne, lecz stokroć przyjemniejsze salony naszej stolicy, skoro już zmuszony byłem Włochy opuścić.

— Z ciężkiem sercem i z widoczną niechęcią wracasz pan zatem do kraju rodzinnego?

— O! teraz nie! — zawołał baron z namiętnym zapałem. Łatwo było sobie to: „teraz“ wytłumaczyć.

Wzrok płomienisty i ton mowy, stanowiły komentarz dostateczny. Pani Hertenstein atoli czy nie zwróciła na to uwagi, czy też po prostu zrozumieć nie chciała, dość na tem, że odpowiedziała najobojętniej:

— Uczucie całkiem naturalne. Skoro wracamy do ojczyzny, obudza się w nas pragnienie, obaczyć jak najrychlej strony rodzinne.

Młody człowiek pojmował co prawda tę rzecz z zupełnie innego stanowiska. Nie godziło się jednak protestować przeciw czemuś tak wzniosłemu, jak tęsknota do miejsc rodzinnych. Rad nie rad, musiał połknąć kompliment, tyczący się jego miłości dla kraju, ale wielce tem rozstrojony, umilkł na czas dłuższy.

Parowiec opuściwszy brzegi lądu stałego, wypłynął na pełne morze. W rzeczy samej ta podróż nocna, była owiana czarem dziwnie tajemniczym. Jak daleko oko sięgało, nad głową i pod stopami, przestrzeń bezmierna, świecąca łagodnym blaskiem księżycowym, i cisza głęboka, usposabiająca do marzeń słodkich, roskosznych. Daleko, daleko, na końcu widnokręgu, świecił jeszcze punkt jasny, niby gwiazda zapadająca powoli w morskich odmętach.

— Znika nam z oczu piękna Wenecja! — Paweł wskazał ręką punkt dotąd nad falami jaśniejący. — Kto wie, czy już ją kiedy w życiu zobaczę!

— Tak więc bardzo przywiązałeś się pan do tego miejsca?

— Niewypowiedzianie! Pierwszy raz zobaczyłem Wenecją, jak i w ogóle całe Włochy. Tam w dali — mogę śmiało twierdzić — chłoną fale rok z życia mojego, pełen blasków słonecznych, pełen szczęścia i swobody, dla tego też ta Dożów stolica nie zatrze się nigdy w mojej pamięci.

— Ja byłam już raz w Wenecji... przed wielu laty! — wycedziła pani Hertenstein głosem stłumionym — i wtedy tak samo zapadała się w głąb morza, niby gwiazda promienista, jak teraz niknie przed nami.

Młody człowiek nie zrozumiał całej tych słów doniosłości. Nie posiadał w ogóle zmysłu dostrzegawczego, a jego wesołe usposobienie, nie mogło nigdy długo wytrzymać nastroju sentymentalno elegicznego. Umiał zawsze otrząść się z podobnej melancholji.

— Przynajmniej, że jako gwiazda znika nam z oczu — wtrącił i teraz żartobliwie. — Uważam to za dobry znak, zapowiadający w przyszłości ziszczenie snów złotych, w Wenecji roskosznie przemarzonych. Trzeba ufać gwieździe szczęścia, skoro nam raczy zabłysnąć, nieprawdaż — pani?!

W słowach tych odczuwało się głębsze znaczenie, mimo iż były mówione tonem lekkim swobodnej gawędki. Wywarły one na młodą damę dziwne wrażenie. Wstrząsła się, jakby od mroźnego powiewu, chociaż noc była ciągle ciepła i cicha, otulając się chustką staranniej. Znowu padło na młodego człowieka jej spojrzenie długie, badawcze, zagadkowe; w rysach jednak Pawła malowała się tylko szczerość i swoboda trochę lekkomyślna wieku młodego i nieopatrznego. Wzrok smętny przeniosła w dal, jakby żegnała punkt świetlany, który w tej właśnie chwili zapadł się w morską otchłań.

— Gwiazdy gasną — szepnęła młoda kobieta głosem drżącym i z dziwną goryczą — a sny młodociane nikną tak samo, pochłonięte nieubłaganą rzeczywistością. Życia w ogóle nie można prześnić i przemarzyć; trzeba przeciwnie zajrzeć mu nieraz śmiało w oczy, znieść nie jeden ból srogi, nie jeden zawód!... i nikomu nie ufać, tylko liczyć na własne siły! Dobranoc panie baronie Werdenfels.

Odwróciła się szybko, i za chwilę zniknęła w drzwiach do kajuty prowadzących. Paweł pogonił za nią wzrokiem niespokojnym. Co to wszystko miało znaczyć? Czyż jego tyczyły się słowa tak cierpkie i surowe? Żarcik niewinny, niezasłużył przecie na odprawę tak ostrą, tak niełaskawą! Jakkolwiek potężnym był prąd magnetyczny, pociągający go ku pięknej, młodej kobiecie, ostygł w namiętnym zapale, jakby nagle mróz zwarzył w samym zawiązku kwiat cudowny jego uczuć młodzieńczych.

— Sfinks, nie kobieta! — mruknął gniewnie, przez zęby zaciśnięte. — Chciałaż umyślnie ostudzić moje szczere zajęcie się jej osobą, aby się mnie pozbyć raz na zawsze, abym więcej jej dróg nie śledził? Widocznem było, iż ukrywa starannie cel podróży i miejsce, w którem myśli na przyszłość zamieszkać. Jak to umiała zawsze zręcznie zwrócić rozmowę na inne tory! Dla czegoż jednak wpatrywała się we mnie tak dziwnie, tak badawczo, zdradzając pewne zainteresowanie się moją osobą?... Wprawdzie odczuwałem wtedy instynktownie, iż wzrok jej nie tyle mnie się tyczy, ile szuka czegoś, czy kogoś, daleko, bardzo daleko... Ale te wybiegi na nic jej się nie przydadzą! Niech się jaką chce otoczy tajemnicą, ja przecież nie spocznę, póki zagadki nie rozwiążę i nie dowiem się, dokąd dąży.

I on wreszcie zbiegł szybko z pokładu. Wiatr zerwał się teraz dość chłodny, morze zaczęło silniej falować, a bałwany uderzały z szelestem o boki parowca, który biegł szybko ku brzegom niemieckim.

(Ciąg dalszy nastąpi)

L'OMBRA.

NOWELLA.

(*Ciąg dalszy*).

III.

W pięknym swoim pałacu, Erminja radaby była zapomnieć o śnie promienistym, o tryumfach, które zbierała, o bajce z „*Tysiąca i jednej nocy*,“ wprowadzonej w życie przez czarodzieja Barini'ego, ale ten właśnie nie przestawał uwielbiać jej dobroci i miłosierdzia dla sierot i Stranoni'ego, przywodząc na pamięć sen miniony. Wtedy i ona sobie przypominała z lubością, jak jej głos walczył o pierwszeństwo, co do dźwięku i

potęgi, z całą orkiestrą i zwyciężał; jaką było dla niej roskoszą przemawiać do tłumu zgromadzonego językiem melodji, przejmować się samej do głębi uczuciami wyrażonemi przez grę i słowa poety, wcielać się w postać przedstawianą, i widzieć jak cała publiczność jest śpiewem jej oczarowaną. Nie przyznawała się tylko, iż najczęściej myśl jej goniła, nie za wspomnieniem tryumfów połączonych, nie za owemi krzykami i oklaskami szalonemi, nie za owym gradem bukietów, którym scena była zasypaną, tylko za tą jedną postacią o bladej twarzy, o czole wyniosłem, z oczami wilgotnemi, zapatrzonemi w nią jak w tęczę, za tym młodzieńcem jasnowłosym, którego hołd był milczący, a jednak ze wszystkich jej najmilszy! Przyznawała w głębi duszy, że jego niemy zachwyt oddziaływał na jej głos, iż dla niego śpiewała, dla niego płakała niejako tonami.

— Kto to? — pytała nieraz sama siebie. — Może także artysta?...

I westchnąwszy dodawała:

— Po cóż pytam?... Wszak go już nigdy w życiu nie zobaczę!

Dzień za dniem upływał w samotności, ona się jednak nie skarżyła, nie pragnęła niczego. Każda inna w jej położeniu, byłaby się znudziła życiem monotonnem, mając starca za jedyne towarzystwo, a za rozrywkę myśli własne i gonienie wzrokiem z terasy pałacowej biegu chmurek leciuchnych, płynących po stropie niebieskim. Jej to wystarczało. Chmurkom powierzała myśli tajemne, aby je zaniosły do zakątka nieznanego, gdzie żył ten, dla którego serce jej zabiło po raz pierwszy. Miłość, której sama dobrze pojąć nie mogła, była dziś jej roskoszą, zsyłała w nocy sny złote, prowadziła ją niby jasna gwiazda świecąc wśród ciemności zbłąkanemu wędrowcowi, zmuszając go do podniesienia wzroku w niebo, gdzie mieszka Istota najwyższa, pocieszająca smutnych, dźwigająca słabych i samotnych.

Nieraz zastanawiając się nad sobą, chciała by była pozbyć się myśli natrętnej, ale jakim cudem? Nie odnosiła żadnych nowych wrażeń, czemże miała zająć i odwrócić bieg myśli?

Pewnego ranka Barini przywitał ją temi słowy:

— Ciesz się *bambina* i nastrój gardziołko. Mamy nad czem pracować, a jaka to miła praca! Dostałem nową operę od *maestra* V***, mojego przyjaciela. Prosił mnie nieraz o radę i teraz żąda, abym mu zdanie moje objawił, zanim dzieło swoje w świat puści.

— W rzeczy samej — przyznała Erminja — będzie to nie lada rozrywka!

— Pewnie to jego śpiew łabędzi, ostatni klejnot w koronie artystycznej, może jeden tytuł więcej do nieśmiertelności... Starcem jest w moim wieku... Osądzimy ile to warte... Bierzmy się raźno *mia cara* do pracy i przekonajmy się, czy *maestro* V*** zasługuje dotąd na sławę największego kompozytora włoskiego.

Przejrzeli operę pobieżnie. Było dzieło przepyszne, nieśmiertelne, instrumentacja potężna kryła się niejako pod kwiatami cudownych melodji, motywa świeże, dobrze rozwinięte, odpowiadające treści, świadczyły o genjuszu niezużytym mimo wieku podeszłego, mimo ilości niezliczonej arcydzieł w świat puszczonych.

— Zdawałoby się istotnie, że tę operę dla ciebie napisano, *regina mia*, tak w tej partji głos twój pysznie się wydaje, tak wyzyskano jego objętość, siłę, giętkość i dźwięk metaliczny, łez pełen! — zawołał starzec rozogniony, rozpromieniony, doszedłszy bez zmęczenia do akordu ostatniego olbrzymiej partycji.

Godziny mknęły teraz niepostrzeżenie, dzięki studjowaniu codziennemu nowej opery, która według zdania staruszka, miała być najlepszem dziełem V*** sędziwego.

— Możemy odpisać, żeśmy zupełnie zadowoleni, nieprawdaż *cara mia*? Doniósł właśnie, iż na to tylko czeka, aby przedstawić operę.

— Pokaż mi list *maestra!*

Zakłopotanie starego nie uszło uwadze lady Stève. Nastawała tem bardziej.

— List poufny... — mruknął Barini pomięszany — zupełnie poufny...

— Ładnie!... robić przedemną tajemnice! — zawołała Erminja zaciekawiona. — Chcę koniecznie czytać list maestra!... Rozumiesz?

— Ależ nic w nim nie ma!... radzi mnie się tylko i pyta, czy nie znam śpiewaczki, któraby mogła podjąć się pierwszej roli w tej operze. Potrzeba by głosu niezwykłej objętości, śpiewaczki doskonałej...

— Ma przecież Prescillę!...

— Prescilla?... głos zmęczony, wyśpiewany!... było to coś niegdyś... i ja byłem pierwszym tenorem!... a każże mi śpiewać teraz!... starość nie radość! wiem jakby to być powinno, a nie mogę! Widzisz *cara mia*, nadaremnie szukam, czytam pilnie w dziennikach recenzje muzykalne, ważę w myśli przymioty i wady wszystkich śpiewaczek tegoczesnych, i nie znajduję jak tylko jedną, jedynę, która byłaby zdolną uwydatnić wszystkie piękności tego dzieła wzniosłego. Ta byłaby w tej roli niezrównaną... V*** słyszał ją w Mediolanie...

— W Mediolanie? — przerwała mu lady Stève.

— Tak *carissima*!... Dla niej napisał balladę w akcie pierwszym, dla niej arję di bravura ku końcowi... Utrzymuje, iż całe powodzenie jego dzieła, zależy od tej wielkiej artystki, której nie zna...

— Nie potrzebuje jej nazwiska, tylko jej talentu — Erminja wtrąciła — i któż to taki? — dodała.

— *L'Ombra*!...

— *L'Ombra*?! — wykrzyknęła. — *L'Ombra* nie istnieje mistrzu kochany i maestro V*** będzie się musiał bez niej obywać.

— A jeżeli arcydzieło będzie źle odśpiewanem, nie będzież to zbrodnią? — zaczął na nowo Barini niezrażony — Czyż nie czujesz drgań nerwowych, gdy organista Peppo w naszym kościółku kaleczy niemiłosiernie śpiewy mistrzów?

— Dzięki goldcremowi i wodzie czystej mój przyjacielu, *l'Ombra* na zawsze zniknęła... Została tylko

jasnowłosa księżniczka Sanseverone, lady Stéve po mężu.

— Nie znasz Wiednia *cara*, gdzie mają operę przedstawiać...

— Gdyby to jeszcze było w Medjolanie... — szepnęła Erminja, łudząc się nadzieją, iż tam odszukałaby może nieznajomego.

— Ah! dziecię moje! — starzec złożył ręce błagalnie, chcąc niemal uklęknąć, do czego jednak Erminja nie dopuściła. — Czyżbyś nie chciała pomódz do sławy największemu kompozytorowi między twoimi ziomkami? Ty! która jak Orfeusz, potrafiłabyś wzruszyć i rozrzewnić, nawet moce piekielne!... O! moja najdroższa uczennico!

— Uspokój się, usiądź, i opowiedz porządnie, coś właściwie napisał maestrowi? — Erminja posadziła staruszka obok siebie. — Tylko mów prawdę! — dodała wzruszona łzami i prośbami przyjaciela.

— Zrobiłem nadzieję, iż *l'Ombra* śpiewać będzie — więcej nawet... obiecałem mu to na pewno!

— Czy podobna?! Zobowiązać się w mojem imieniu, bez mojej wiedzy.

— Tylko na pierwszych sześć przedstawień!... na sześć, nie więcej!... Cóż chcesz! musiałem go zachęcić!... bez współudziału *l'Ombry*, nie myślał wcale opery przedstawiać.

— Jesteś pewny, iż nie wie kim jestem?

— Na zbawienie duszy przysięgam. Myśli, iż rodzinę twoją w Rzymie poznałem... W Medjolanie skomponowałem całą historję, gdyż tam cię słyszał i tam wymógł na mnie słowo...

— Które dałeś lekkomyślnie, mnie nie zapytawszy!... Źle się stało mój przyjacielu!

Barini rozpłakał się na dobre.

— Nie zapominaj, żeś moją chwałą, żem dumny z ciebie, że mnie winnaś metodę, bez czego głos twój byłby pozostał brylantem czystej wody, to pewna, ale nie wyszlifowanym, bez oprawy, że się tak wyrażę... Cóż chcesz, sztuka to moje bóstwo!... Biedny starzec, w tobie na nowo żyć zaczynam. Nie pojmiesz nigdy, co się w sercu mojem dzieje, gdy słyszę ciebie, gdy oddajesz myśl moją lepiej niż ja sam, gdy podnosisz zrozumieniem wartość dzieł nieśmiertelnych, gdy widzę jak tłum cały zawisnąwszy niejako na ustach twoich, boi się ruszyć, lęka się odetchnąć, aby nie stracić jednego tonu twojego, gdy powtarzam w duchu upojony: — Ja stworzyłem tę wielką artystkę! ona mojem jest dziełem! Sypcie jej, sypcie wieńce i bukiety!...

Barini nie przeczuwał jakie sprawi wrażenie tem ostatniem słowem. Erminja zobaczyła przed sobą nieznajomego, który słuchał jej śpiewu zachwycony. A gdyby znalazł się przypadkiem w Wiedniu?... Podniosła wzrok na starca szlochającego i czule przemówiła:

— Mistrzu kochany, nie będzie powiedziano, że twoja Minia potrafi zasmucić cię kiedykolwiek. Odpisz p. V***, że *L'Ombra* w operze wystąpi!

Radość dziecinna Barini'ego wyrównywała jego rozrzewnieniu poprzedniemu. Plótł niestworzone banialuki, które rozśmieszały lady Stève; naraz skoczyła jak oparzona.

— Gdybyś wiedziała *bambina*, jakie nam świetne zrobiono propozycje! — wyrwało mu się nierozważnie.

— Jakto?! Spodziewam się przynajmniej, że nie śmiano ofiarować nam pieniędzy?!

— Przeciwnie *ragazza*! i musimy je przyjąć!

— Przenigdy! — Erminja spłonęła oburzeniem.

— Zastanów się, że dla tych ludzi jesteś artystką. Nieprzyjęcie zapłaty zdradziło by wielką damę. Masz prawo rozdać to, co zdobędziesz twoim talentem... ale dopiero po twoim odjeździe, gdy znikniesz zupełnie, aby twoja wspaniałomyślność nie obudziła podejrzeń i wątpliwości niepotrzebnych.

— Śmiesz to nazywać wspaniałomyślnością?!

— Wiem, że dla ciebie, pani miljonowej, to kropla w morzu!... Nie możemy jednak wystawiać się na możliwe, wskutek odmowy, nieprzyjemności.

Barini siadł aby odpisać przyjacielowi.

— Powiedz mi też ..

Erminja wpół urwała.

— Co takiego? -- spytał.

— Czy mają w Wiedniu kamelje?

— Całemi snopami *bambina*!

Tym więc sposobem, córka księcia Sanseverone, zdecydowała się po raz drugi wystąpić na scenie.

IV.

Nie myśląc wcale o kroku niestosownym i nierozważnym, do którego namówił ją jedyny przyjaciel, Erminja zaczęła wkrótce myśleć z roskoszą o wystąpieniu w roli wzbudzającej szczery zapał i zachwyt w jej duszy. Treść libretta była następująca:

„Sergjusz, młody Węgier, a przyszły małżonek Irmy, należy do tajnego sprzysiężenia. Narzeczona prośbą i pieszczotą zmusza go do powierzenia jej tajemnicy, którą zdradza następnie przez lekkomyślną nierozwagę. Dowiadują się o tem spiskowcy i Sergjusz dostaje rozkaz ukarać śmiercią zdrajcę nieznanego. Wie o tem Irma, wie również, że narzeczony nie ma wyboru, tylko między ślepem posłuszeństwem a śmiercią. Porywa więc sztylet przysłany Sergjuszowi przez spiskowców, z ich godłem, wyrytem na rękojeści; i sama wbija w serce mordercze żelazo, aby ratować życie kochanka."

Akt pierwszy to czarowna sielanka, pełna woni kwiatów, promieni słonecznych, uroku wiosny i miłości. Irma opowiada towarzyszkom o szczęściu swojem. Duet pierwszy zakochanych, jest sam w sobie skończonem arcydziełem. Erminja rozwinęła w nim lubą prostotę młodego dziewczęcia; była czułą, pieszczotliwą, roskoszną! Gdy nadeszła chwila walk wewnętrznych, chwila rozpaczy śmiertelnej, w jej spiewie była taka żałość rozdzierająca, tak czule żegnała się z swojem młodem życiem, iż oko żadne nie mogło, słuchając jej, suchem pozostać.

— Kamienie musiałyby z tobą razem zaszlochać — jęczał Barini oczy z łez ocierając.

Operę wystudjowano, przedstawienie było zapowiedziane. Lady Stève udała się do Wiednia, tym razem li z Barinim i Mariettą nieodstępną.

Reklama nie zaniedbała roztrąbić po całym świecie pojawienie się sławnej *L'Ombry*. Dzienniki pełne były pochwał, tak nowego arcydzieła znanego kompozytora, jak i wielkiej artystki, mającej przedstawiać główną rolę, którą trzy przedstawienia w Medjolanie głośną zrobiły na całą Europę, a która otaczała się tajemnicą dotąd niezbadaną. Podano nawet warunki, pod jakiemi zdecydowała się wystąpić i to zastrzeżenie dziwaczne, żeby podczas przedstawienia nie wolno było nikomu, nie należącemu do personalu teatralnego, znajdować się za kulisami.

Niektórzy widzieli w tem rodzaj reklamy niezręcznej, inni oryginalność w złym guście, niemal impertynencję. Na pierwszej próbie koledzy przyjęli niechętnie śpiewaczkę nieznajomą, która chciała pozować na *Westalkę*, rozbroiła ich jednak wkrótce i ujęła dobrocią, uprzejmością, lubą prostotą, zaimponowało im w dodatku uszanowanie, jakie jej okazywał maestro V***. Jej piękność uderzająca i głos niezrównany, oczarowały wreszcie te natury wrażliwe, u których częstokroć podziw szczery zwycięża zazdrość i zawiść. Ci nawet, którzy wyśmiewali zrazu jej dziwaczne zachcianki, trzymali prym w chórze pochwalnym, uważali ją jako Muzę natchnioną, podając jej imię z ust do ust z zapałem i zachwytem.

W dzień przedstawienia, sala Wielkiej Opery była przepełnioną. Oprócz Wiednia całego, zjechało się mnóstwo cudzoziemców, mnóstwo redaktorów i reporterów dziennikarskich z działu muzyki.

Podniosła się kortyna. Irma siedzi w głębi sceny, otoczona wieńcem młodych towarzyszek. W chórze szczebiotliwym, odznacza się głos jeden, niby dąb wśród nizkiego zagajenia wznosi się po nad chór, nie szkodząc bynajmniej całości... wreszcie młoda dziewica opuszcza towarzyszki i na przód sceny postępuje. Wszystkie szkła na nią zwrócone, jej oczy duże, turkusowe, nadają smagłej twarzy dziwny wyraz. Piękną jest niezaprzeczenie, kibić prześliczna, chód lekki, jakby nie szła lecz płynęła, giesta nie częste, za to ruch każdy okrągły, estetyczny, w postawie całej czar niezwykły, układ tak szlachetny, taka czystość dziewicza bije z czoła jasnego, w twarzyczce maluje się wdzięczna prostota, iż wszystkie serca pociąga ku sobie. Dla zachęcenia, zanim usta otworzyła, biją oklaski; zaczyna wreszcie opowiadać o swojej miłości. Ileż słodyczy, ile czułości w jej głosie, a co to za głos! Gdy wspomina o roskosznej, a tak bliskiej przyszłości, przy boku męża ukochanego, śpiew jej wznosi się wesoło, niby perlista kaskada, w szalonem *Allegro*; z łatwością igra z nagromadzonemi trudnościami; śpiew jest tak lekkim, tak świeżym, iż publiczność zapomina o sztuce, wszyscy wzruszeni, zachwyceni, widzą Irmę przed sobą, artystka znika im z oczu.

Sala wybucha oklaskami; może zdawać się *L'Ombrze*, iż nie porzuciła wcale swojego nieba południowego, pod którem serca żywiej biją i płoną entuzjazmem, do szału dochodzącym dla muzyki; dziękuje uśmiechem naiwnym, pełnym radości dziecięcej; oklaski wzmagają się. W tłumie całym wzrok jej szuka tylko jednego. Trzeba jednak śpiewać dalej; podziw wzrasta; żadna dotąd spiewaczka nie bawiła się, nie przerzucała tonami od najwyższych do najniższych z taką niemal zuchwałością. Tyle stron dodatnich w jej talencie a żadnej ujemnej, iż nie wiedzieć na co wprzód zwracać uwagę. Chwilami cały teatr powstaje zapałem uniesiony, aby okazać jej hołd najwyższy.

Przedstawienie od początku do końca było jedną wielką owacją. Barini przepowiedział: „Kamienie zaszlochały by razem z tobą!“ — Istotnie gdy Irma żegnając się z życiem mówi: „Gdy noc zapadnie, gdy cisza go otoczy, w której żałośni zwykli wspominać tych, których już nie ma na ziemi, pomyśli o mnie, kochającej go nad życie własne, pomyśli, nie wiedząc, iż ginę w kwiecie wieku, aby jego uratować! — w każdem oku łza błyszczała, a gdy padła pod ciosem zadanym własną ręką, slaniając się cicho, niby zraniona śmiertelnie gołąbka, wzruszenie zapanowało tak głębokie, cisza zaległa tak uroczysta, jakby istotnie po zgromadzeniu anioł śmierci przeleciał. Dłuższej chwili potrzeba było, aby ocknięto się z wrażenia bolesnego, ale wtedy publiczność, tak samo jak w Medjolanie, wpadła w szał niepraktykowany. Znowu scena pokryła się grubą warstwą kwiatów najrzadszych, między któremi znajdował się i bukiet z białych kamelji, otoczony wieńcem fiołków parmeńskich.

Jest więc tutaj młodzian jasnowłosy!... Przebiegła salę oczami... Zoczyła go wreszcie... Serce zabiło jej gwałtownie, podniosła bukiet z lekkiem głowy skinieniem, jakby witała dobrego znajomego.

Skoro kortynę spuszczono, maestro V*** na scenę pospieszył, porwał artystkę za ręce, a składając na jej czole ojcowski pocałunek, rzekł głosem drżącym:

— Dzięki tobie *Diva celéste*, stworzyłem arcydzieło!

Zatoczył się i zachwiał, jakby upadał pod ciężarem wzruszenia. Wszyscy artyści otoczyli *l'Ombrę*, obsypując pochwałami, iż ledwie im się wymknąć potrafiła.

Do hotelu wróciwszy, czuła się najszczęśliwszą. Nie tyle odurzał ją nowy tryumf, ile radowała się odszukaniem nieznajomego. Wciągała w siebie z roskoszą woń bukietu, który ze sceny zabrała.

— Jakżebym go poznać bliżej pragnęła! — pomyślała. — Kim on jest? Czy będzie na drugiem przedstawieniu? Niestety! czyż mogę z nim mówić?... Jestem przecież *l'Ombrą*, która zniknąć musi.... Barini'emu polecę, aby się dowiedział, kto to taki.

Czekała niecierpliwie ranka następnego. Posłała natychmiast po swojego starego nauczyciela, który stawił się z miną tak uroczystą i z takiem uszanowaniem do niej się zbliżył, iż Erminja śmiechem parsknęła.

— Czy lękasz się mej płci śniadej, że mnię nie wi-

tasz jak zwykle? — spytała żartobliwie. — Bierzesz mię za królowę Sabę?!

— Nie, nie! — starzec zaprotestował. — Jesteś atoli bóstwem dla mnie, przed którem powinno się padać na kolana. Ah! czemuż nie jesteś córką jakiego rybaka ubogiego, aby zostać naprawdę królową!... Jest bo królestwo genjuszu, które zdobi skronie wybranych koroną trwalszą niż djadem mocarzów tego świata, koroną, którą sam Bóg wkłada im na czoła...

— Tę koronę, tobie mistrzu kochany zawdzięczam! — zawołała Erminja.

Chciała starca zręcznie wybadać, nie dając poznać, jak bardzo interesuje się odpowiedzią; po raz pierwszy w życiu czuła się wobec niego onieśmieloną, czekała, żeby sam jej zaczął mówić o tryumfie wczorajszym, lecz nie znalazła sposobności spytania o nieznajomego.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

V.

Nim pójdziemy za Pauliną Régis i pustelnikiem, wróćmy się pierwej do zamku de Planche Mibray i dowiedzmy się, co tam zaszło od tygodnia.

Pani Villemur, młoda wdowa z dwoma córeczkami, opuściła zamek zaraz nazajutrz po tej strasznej scenie, której rozwiązaniem była śmierć Munita. Pani de Planche-Mibray prosiła ją o to.

— Droga moja — mówiła do niej — przyjechałaś tutaj, pocieszać mię w samotności, ale teraz rzeczy straszne zaczynają się dziać u mnie. Śledztwo tu teraz będzie jedno po drugiem, żandarmi będą odwidzać dom mój. Nie trzeba, aby twoje dzieci patrzyły się na to. Proszę cię, odjeżdżaj.

— Chcesz więc, abym cię opuściła teraz, moja biedna przyjaciółko? — zawołała pani Villemur wzruszona.

— Nie opuścisz mię, bo wkrótce może przyjadę do ciebie.

Działo się to o godzinie siódmej rano, nazajutrz po nocy strasznej, którąśmy opisali.

Małe dziewczątka, spiąc z drugiej strony zamku, nic nie słyszały, ani krzyków służby baronowej, ani łoskotu kopyt końskich, ani wystrzału z rewolweru, od którego zginął Munito. W wieku dziecięcym spi się tak dobrze!

I dopiero po odjeździe pani Villemur, baronowa dostała straszną gorączkę, i była nieprzytomna prawie przez czterdzieści osiem godzin.

Przez ten czas komisja sądowa zjechała do baronowej, stwierdziła śmierć cygana, i kazała go pochować w końcu cmentarza w Coulanges. Potem wszystko ucichło, i spokój powrócił pod dach tego domu, gdzie dotąd panowała żałoba.

P. de Villenave, odgrywając doskonale swą rolę, prosił o pozwolenie oddalenia się do swego przyjaciela markiza B.

— Jedź pan — odpowiedziała mu baronowa — przekonasz się wkrótce, czy umiem dotrzymać obietnic.

Otóż tej nocy, w której Corinna przejeżdżała Coulanges w karecie markiza, nie domyślając się nieszczęśliwa, że jedzie po śmierć, w oknach pokoju sypialnego baronowej de Planche-Mibray błyszczało światło jeszcze o trzeciej nad ranem.

Na podwórzu zamkowym stał powóz przygotowany do odjazdu. W stajni masztalerze dawali obrok koniom.

Co do baronowej, ta jeszcze się nawet nie położyła. Ubrana w suknię podróżną, siedziała przy stoliku i pisała list następującej treści do pana de Villenave:

Szanowny Panie i mój kochany siostrzeńcze.

„Gdy list ten cię dojdzie, opuszczę już raz na zawsze Planche-Mibray.

„Spędziłam wczoraj dzień cały z panem Bompoint, notarjuszem, i uporządkowaliśmy nasze interesa.

„Za dwadzieścia cztery godzin przestąpię progi klasztorne. Za tydzień wypowiem śluby tymczasowe. Za rok, śluby te staną się wiecznemi.

„I wtedy dopiero umrę dla świata i testament mój będzie otwarty. Prawo tego wymaga.

„Przez ten rok polecam ci zarząd mego majątku. W dniu, w którym włosy moje upadną pod nożyczkami klasztornemi, testament mój, złożony w rękach pana Bompoint, będzie otwarty.

„Testament ten robi cię moim spadkobiercą uniwersalnym.

„Ten majątek, który proszę cię abyś przyjął, pochodzi od twego wuja. Majątek, usunięty od swego źródła, niech do niego powróci.

„Dałeś mi dowody niezaprzeczone swego przywiązania od niejakiegoś czasu, i jestem przekonaną, że wysłuchasz mojej prośby, to jest: uszanujesz wolę nieboszczyka barona de Planche-Mibray, mego nieodżałowanego małżonka.

„Baron kazał mi przysiądz, że nigdy nie sprzedam Planche-Mibray, gdybym go przeżyła. Zachowasz to stare zamczysko, który jest prawie twoją kołyską, nieprawdaż?

„Mam jeszcze jedną prośbę do ciebie, a prośbę tę wuj twój także byłby ci powtórzył. Imię de Planche-Mibray nie może zaginąć.

„Ożenisz się bądź to w Paryżu, bądź to w naszej kochanej okolicy, z jaką młodą panienką cnotliwą, i dobrze wychowaną; przyjeżdżać będziecie zawsze na jesień tutaj, i wyjednasz u ministra pozwolenie, nazywania swego syna Villenave de Planche-Mibray.

„Porobiłam kilka zapisów mniejszej wartości.

„Cała służba zamkowa służyła jeszcze u twego poczciwego wuja. Zapewniłam im utrzymanie na ich stare lata.

„Proszę cię także o pozwolenie zapisania pięćdziesięciu tysięcy franków na klasztor.

„Nareszcie przyjaciółka moja, pani Villemur, nie jest bogatą.

„Wuj twój, który lubił ją bardzo, wiem o tem, że miał zamiar wyposażyć jej córki. Szanując jego wolę, zostawiam im sto tysięcy franków, które oprocentowane, przyniosą prawie dwa razy tyle w dniu ich ślubu.

„Wszystkie te sumy odtrąciwszy, licząc już w to i mój zapis na klasztor, i dla biednych w Coulanges, i fundację wieczną na mszę św. za spokój duszy twojego wuja i mego biednego Manuela, zostanie ci się jeszcze trzykroć sto tysięcy liwrów dochodu, suma znaczna, aby utrzymać stare imię de Planche-Mibray w całej swojej świetności.

„Żegnam cię kochany siostrzeńcze. List ten jest ostatnim, który odbierasz odemnie.“

Marta de Planche Mibray.

Napisawszy ten list baronowa, poczęła pisać drugi. Ten był adresowany do pani Villemur.

Droga przyjaciółko.

„Piszę do ciebie, żegnając się z tobą na zawsze i błagając cię, abyś przyjęła skromny upominek dla twoich dzieci, od tej, która ci dała tyle dowodów przyjaźni.

„Wstępuję do klasztoru.

„Dziś wieczór drzwi murów klasztornych zamkną się za mną na zawsze.

„Pojmujesz, że życia teraz dla mnie nie ma! Jedyny człowiek, którego kochałam miłością prawdziwą, bez granic, nie żyje już.

„Baron de Planche-Mibray był ojcem dla mnie, ale Manuel byłby był mężem.

„Manuel umarł, i ja muszę umrzeć także, to jest, nie ma dla mnie odtąd nigdzie życia, jak tylko w murach klasztornych i w miłości Boga.

„A potem, droga moja, czy sama nie zamknęłam sobie wszelki powrót? Czyż nie przyobiecałam majątek mój panu de Villenave?

„Kocha mię, albo udaje, że mnie kocha, mniejsza o to! Zabił Munitę, to jest, zobowiązał mnie, mszcząc Maugeville'a, do dotrzymania mojej przysięgi.

„Gdybym nie wstąpiła do klasztoru, musiałabym poślubić Leona Villenave. Czyż to podobna?

„Chwilami odpycham od siebie te szczególne uprzedzenia.

„Baron de Planche-Mibray nie lubiał go, — przypuszczam, że miał niesłusznie.

„Nie miałam szacunku dla niego, — przypuszczam jeszcze, że byłam w błędzie.

„Idę jeszcze dalej nawet, jestem przekonaną, że Leon Villenave jest uczciwym człowiekiem w całem znaczeniu tego wyrazu.

„I jeżeli tak jest w istocie, ma prawo być kochanym, i obowiązkiem jest kobiety, która zostanie jego żoną, odpłacić mu miłością wzajemną. Czyż ja bym mogła?

„Serce moje zamarło.

„Poświęcam więc życie światowe i oddaję się miłości Boga.

„Baronowa de Planche-Mibray, moja przyjaciółka, umarła. Umarła córka z krwi cyganów, która pamiętała o swojem pochodzeniu w chwilach burz i udręczeń.

„A ta, która ci teraz zasyła tysiączne pocałunki dla ciebie i twoich aniołków, i modlić się będzie za wasze szczęście, nazywa się teraz tylko:

„Siostrą Martą.“

P. S.

„Nie żałuj mię zresztą, najdroższa przyjaciółko.

„Gdybyś wiedziała, co za roskoszny klasztor wybrałam. Sześć mil oddalony ztąd, w dolinie dzikiej i malowniczej. Wyszedłszy w dzień jasny na szczyt góry, która się wznosi nad zameczyskiem Chastellux, widać u stóp jego na prawo, porozrzucane w nieładzie malownicze pagórki, doliny, lasy i łąki.

„Pomiędzy niemi wznosi się biała dzwonnica. Jest to klasztor św. Piotra. Klasztor ten należy do kapucynów.

„O dwie mile ztamtąd, w tem prześlicznem położeniu, znajduje się klasztor zakonnic. Są to Urszulanki. Reguła nie jest bardzo surowa.

„Nie wychodzą one wprawdzie, te córki Boga, ale mają ogród bardzo obszerny.

„A potem, po za murami klasztoru widokrąg zielonych gór, które wznoszą się wysoko w błękitne niebo! Wieczór, słysząc dzwonek wzywający na Anioł Pański w sąsiednich wioskach, łączący się z spiewem pastuszków i beczeniem owiec wracających z pola i potrząsających dzwonkami, zdawać mi się będzie, że jestem w Planche-Mibray.

„Żegnam cię raz jeszcze przyjaciółko i siostro moja. Nie zapominaj o tej, która zawsze modlić się będzie za ciebie. „Marta.“

Gdy baronowa skończyła i zapieczętowała te dwa listy, zbliżyła się do okna i otworzyła je. Okno to wychodziło do parku.

Niedaleko za parkiem płynęła rzeka l'Yonne, nad nią wznosiło się miasteczko Coulanges, a dalej żyźne płaszczyzny, otoczone pagórkami. Bladawe światło jutrzenki błyszczało na niebie, oświecając na pół tę naturę spokojną, i dodając jej dziwnego uroku.

Baronowa odetchnęła świeżem powietrzem rannem.

Przez kilka chwil, oparta o ramy okna, wpatrywała się w ten krajobraz spokojny, gdzie żyła długo tak szczęśliwie. Nareszcie łza zabłysła na ciemnych jej rzęsach, i szepnęła smutno:

— Okolico moja, żegnam cię!...

Potem cofnęła się nagle ruchem gorączkowym, zamknęła okno i dotknęła się srebrnego dzwonka.

Służący wszedł.

Był to stary lokaj pana de Planche-Mibray.

— Janie — zapytała — czy powóz zaprzężony?

— Zaprzęgają proszę pani.

— Dobrze! jestem gotowa. Czy wypełniłeś moje rozkazy? czy wszyscy słudzy powstawali?

— Wszyscy są zebrani w pokoju jadalnym — odpowiedział Jan. — Tak jak pani mi poleciła.

— A ty jesteś gotów?

— Jestem proszę pani — a głos starego sługi drżał.

— Dobrze — odrzekła baronowa.

Wzięła potem oba listy, a podając mu jeden, rzekła:

— Rzucisz go na pocztę, gdy przyjedziemy do d'Avallon.

— Myślałem, że jedziemy do Paryża — odrzekł.

— Nie — odrzekła baronowa skinieniem głowy. A podając mu drugi, rzekła:

— A ten każesz zanieść do zamku Rochepinte, do pana de Villenave.

Jan trzymał oba listy w ręku. Jednakże zamiast odejść, stał nieruchomy na miejscu, wpatrując się w swą młodą panię z widocznym niepokojem.

— No idź! — rzekła baronowa.

Jan stał ciągle.

— Pani baronowo — odezwał się nareszcie — niech pani baronowa wybaczy mojej śmiałości, ale nosiłem niegdyś na rękach nieboszczyka pana barona, a i pani baronowa robiła mi nieraz zaszczyt i nazywała raczej przyjacielem, niż sługą.

— To prawda — odrzekła.

— Nie wiem, gdzie jedziemy — mówił dalej — ale nie wnoszę nic dobrego z tej podróży, a tamci myślą tak samo jak i ja. Wszyscy mają łzy w oczach.

— Przyjacielu mój — odpowiedziała pani de Planche-Mibray wzruszona — opuszczam zamek.

— Na długo?

— Na zawsze.

Jan z krzykiem upadł na kolana. Baronowa podniosła go mówiąc:

— Idź, mój stary przyjacielu, nie odbieraj mi odwagi przez twoją słabość. Nie mogę ci nic teraz powiedzieć. Zejdź i powiedz im, że zaraz także przyjdę.

— Powiedziała to głosem rozkazującym i łagodnym zarazem, a Jan wyszedł łkając.

W kilka minut potem pani de Planche-Mibray zeszła także, i weszła do tej olbrzymiej sali, w której tyle przodków de Planche-Mibray zasiadało. Cała służba zamkowa była tam zebrana, zacząwszy od gajowych, a skończywszy na najpodrzędniejszych dziewczętach podręcznych.

Stojąc w koło z głowami odkrytemi, mieli przeczucie, że to pożegnanie uroczyste z baronową, było może pożegnaniem wiecznem.

— Moje dzieci — mówiła baronowa — opuszczam was. Może nie obaczymy się już więcej, ale wy o mnie nie zapomniecie, nieprawdaż? bo ja zawsze o was pamiętać będę. Każdy z was odtąd ma zabezpieczony mały przychód, który użyć może w razie potrzeby.

Odpowiedziano jej łkaniem. Baronowa mówiła dalej:

— Jestem młodą a są tu tacy, którzy mają włosy białe. Ale byłam waszą panią i przedstawiam tutaj barona de Planche-Mibray, mego czcigodnego małżonka. Jesteście więc mojemi dziećmi...

I opanowując wzruszenie, mówiła znowu:

— Dzieci moje, klęknijcie razem. Chcę, rozłączając się z wami, pobłogosławić was.

Uklękli wszyscy, łkając głośno.

Wtedy pani de Planche-Mibray podniosła ręce i rzekła głosem uroczystym:

— Litościwy Boże! Błogosław sługi de Planche-Mibray tak, jak ja ich błogosławię!..

I w istocie. widząc w tej chwili tę kobietę młodą i piękną z podniesionemi rękami, błogosławiącą wszystkie te głowy, z których niektóre białe już były jak śnieg, i wzywającą dla nich błogosławieństwa Boga, który wynagradza wierność i poświęcenie, rzekłbyś, to scena z wieków średniowiecznych, wieku wiary gorącej, a nie sceptyzmu dzisiejszego.

. . . .

Niedługo potem baronowa de Planche-Mibray jechała drogą z Coulanges do Avallon.

W godzinę później służący na koniu przyjechał do zamku Rochepinte, z listem do pana de Villenave.

Było to w chwili, w której markiz B., zawsze lekki, zawsze ekscentryczny, po śmierci nieszczęśliwej Corinny, starał się pocieszać pana de Villenave, pocieszając zarazem sam siebie.

— Mój przyjacielu — mówił do niego — wyprawię wspaniały pogrzeb naszej wspólnej przyjaciółce, i jak ci mówiłem, zwalę na siebie całą odpowiedzialność tego skandalu. I będziesz biały jak śnieg, w oczach twojej ładnej ciotki. Ale sądzę, że nie powinieneś zostać tutaj dłużej. Za kilka godzin ciało nieboszczki wystawią na katafalk, więc trzeba abyś już wyjechał. Masz zresztą dobrą sposobność pojechania do Planche-Mibray.

I podczas gdy markiz dawał te rady panu de Villenave, posłaniec od baronowej z listem przyjechał. P. de Villenave rozerwał pieczątkę z gorączkowym pospiechem.

Czytając list ten, twarz jego z początku pobladła. później poczerwieniała. Doznał gwałtownego wzruszenia.

— Co się stało? — zapytał go markiz.

Villenave podał mu list.

Markiz przeczytał go od początku do końca. Potem rzekł zimno:

— Ależ to być nie może!...

— I ja tak sądzę — szepnął Villenave.

— Nie masz prawa przyjmować majątku pani de Planche-Mibray, tak jak ona nie ma prawa wstępować do klasztoru.

— Masz słuszność — odrzekł Villenave. — Mogę nie przyjąć majątku, ale...

— Ale możesz jej także przeszkodzić w wstąpieniu do klasztoru.

— Jakim sposobem?

— Nie wiem... Ale ponieważ ty ją kochasz...

— O! z pewnością — rzekł Villenave.

— Kiedy mężczyzna jakiś kocha kobietę i nie ma innego rywala prócz nieboszczyka, sprawa przez pół już wygrana dla niego.

— Ale cóż robić? — szepnął Villenave, który umiał przybrać wyraz prawdziwej rozpaczy.

Nagle markiz uderzył się w czoło.

— Czekaj — rzekł — przyszła mi myśl jedna. Doskonała myśl, zaręczam ci.

— Słucham cię, mów.

— Jesteś mego wzrostu, nieprawdaż?

— Prawie.

— Mój mundur leżeć będzie na tobie doskonale.

— Jaki mundur?

— Et! — zaśmiał się markiz — to także jedno z moich warjactw. Wyobraź sobie, że roku przeszłego zachciało mi się zostać żuanem kapłańskim.

— Doprawdy?!

— Prosiłem o dyplom porucznika. Kazałem zrobić mundur. No! bo markizowie B. zawsze byli gorliwymi katolikami. Chciałem bronić władzę.

— Jednakże nie pojechałeś?

— Nie, miałem wielkie zmartwienie w tym czasie i zapomniałem potem. Klaczka moja wyścigowa, Iskra, która wygrała w Epsom, złamała nogę w Vincennes.

— Ale do czego, proszę cię, może mi służyć ten mundur?

— Pytasz się o to?

— Tak.

— Najpierw, aby dowieść pani de Planche-Mibray, że chcesz umrzeć na polu bitwy.

— A potem?

— A potem, jeżeli oficer nie może przestąpić murów klasztornych, żuan kapłan przechodzi łatwo drzwi i porywa swoją ukochaną, jak rycerz z średnich wieków.

— Ale naprzód trzeba się dowiedzieć, gdzie jest ten klasztor?

— Znajdziemy — odrzekł markiz. — Spuść się na mnie, a obaczysz! — i zaśmiał się dodając:

— Doprawdy, że tego roku bawię się wybornie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.